

Henryk P. Kosk

Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka

(2)

– Ochotnik. Zęby wybili mi Niemcy, gdy wzięli mnie do niewoli, a na ochotnika poszedłem po powrocie z obozu, bo co miałem robić, gdzie miałem się podziąć. Nie mam domu, nie mam rodziny, nie mam nikogo. Myślałem, że w wojsku przeżyję najgorszy okres, a potem jakoś się urządzi. Ale wyszło inaczej.

– W jaki sposób przyjęli cię do wojska bez zębów?

– Dla rodowitego warszawiaka, który przeżył okupację i powstanie, takie coś to pestka.

Rozmowa trwała długo. Przerodziła się niebawem w dyskusję polityczną. Chciałem wiedzieć, dlaczego ten były powstaniec warszawski, który dla ojczyzny stracił wszystko prócz życia, stał się jej wrogiem. Nie dowiedziałem się tego. Była mowa o wszystkim: o tym, dlaczego Rosjanie nie pomogli walczącej Warszawie, czy powstanie było zbrodnią czy bohaterstwem, kto chce dobrze dla Polski – PPR czy PSL – i mnóstwo innych równie zasadniczych kwestii. Chłopak nie krępował się i plótł androny zaczerpnięte z arsenału niewybrednej bazarowo-knapiarskiej polityki. Boczkowski czasem przyznawał mi rację, czasem pozostawał przy swoim – bardziej z przekory niż z przekonania.

Obiad przerwał dyskusję. Prosiłem go – tak, prosiłem – by przestał się wygłupiać wśród żołnierzy i powstrzymywał swój niewyparzony jęzor za dziąsłami oraz żeby zgłosił się do pułkowego dentysty po wstawienie zębów. Jeśli mu przyjdzie chętką popyskować – to proszę bardzo, jestem do dyspozycji.

Poszedłem do sztabu. Poprosiłem dowódcę batalionu, by włączył strz. Boczkowskiego do normalnej służby.

– Co ty, kobyle dziecko, chcesz abym wiślał za twoje eksperymenty?

– Bądź spokojny. Ja biorę na siebie pełną odpowiedzialność za tego chłopca. Ty lepiej załatw, żeby mu wstawili zęby, które mu wybili hitlerowcy. Rodziców mu nie wskrzesimy, ale to można zrobić.

– Ty się nigdy nie zmienisz – zakończył rozmowę, ale nazajutrz Boczkowski był na służbie, jak wszyscy żołnierze, i po kilku dniach zameldował mi, że pułkowy dentysta sam go wezwał do siebie w sprawie zębów.

Wybuchła bomba w kwaterymistrzostwie. Zaczęło się od młodych oficerów żywnościowych i mundurowych. Po kilku miesiącach służby tak się odkuli, że bez kija do nich nie podchodź. Hardzi, butni, ubrani jak modelki, często zalani. Dużo kosztowało nas roboty, aby wreszcie schwytać delikwentów na gorą-

cym uczynku. Stawiali się, ale szybko oklapli. Siedzą w pierdlu i pójdą pod sąd. Ci główniarze to nic, ale kto by się spodziewał po kwaterymistrzu, że on organizował całą akcję zbiorowego okradania pułku? To złodziej na wielką skalę. Gorzej, że umknął i nie wiadomo dokąd. Dezerter w stopniu majora. To, co sobie przygotował, starczyłoby mu do końca życia. Wątpię, by to było już wszystko. Na pewno nie uciekł w nieznaną z pustą kieszenią. Sądzę, że daleko nie ujdzie. Pewnie siedzi u jednej ze swoich kochanek, a ta da się zintentyzować.

W pułku szumi jak w ulu. Na aferze zyskał autorytet naszego oddziału. To też się liczy.

Czerwiec

Jestem w szpitalu na Żelaznej. Czyżbym każdy czerwiec musiał spędzać w szpitalu? Czuję się już dobrze, ale wszystko to razem jakieś zagadkowe. Leżę w izolacji i czekam na ostateczny wyrok lekarzy.

Zaczęło się w ubiegłą niedzielę. Ja z Romkiem zostaliśmy wyznaczeni do zabezpieczenia uroczystej ekshumacji zwłok marszałka Rataja, zamordowanego przez hitlerowców w Palmirach. Jak to u nas zwykle bywa, kazano nam być gotowym do odjazdu o godz. 7.00 chociaż, o czym nie wiedzieliśmy, odjazd miał nastąpić dużo później. Zasnęliśmy i bez śniadania poszedłem do koszar. Czekałem głodny i wściekły, bo nie lubię marnowania czasu. Nic się nie działo, więc wyskoczyliśmy do Lusi i na chybiczka zjadłem kawal kielbasy zapijając „perełką”. W Palmirach czułem się źle. Było gorąco, duszno, tłok. PSL-owcy urządzili wielką manifestację, ale żadnej draki nie było. Piłem, co popadło pod rękę, bo mnie po prostu paliło w środku. Wróciłem chory. Lekarz pułkowy pokiwał głową i w poniedziałek rano odstawił mnie do szpitala.

Badania, dieta, izolacja. Zafrasowane, tajemnicze twarze lekarzy. Nie mogłem wygłupiać diagnozy. Pewnie dlatego, że lapiduchy nie umieli jej postawić. Skręt kiszek, zatrucie, cholera, dżuma. Wyspałem się, wypróżniłem i było po wszystkim, ale mnie maglują dalej. Mój opiekun por. Brzozowski, bardzo sympatyczny jegomość, poinformował mnie dziś, że mam gruźlicę płuc. Co ma piernik do wiatraka i przy tym ta niby gruźlica nie jest zwykła, a włóknista, czy wełnista. Ostatnio solidnie popracowałem. Nie dospałem wiele nocy i nie dojadłem. Odwaliliśmy referendum z pełnym sukcesem. Nie spałem

wtedy dwie noce pod rząd. Brzozowski mówił, że ta gruźlica to stara historia, tylko teraz się odnowiła i dlatego jest nieprzyjemna, ale mam szczęście, że ją wykryto, co rokuje nadzieje na wyleczenie. Też ma rację z tą starością. Kto wie, kiedy i na jakie choroby chorowałem? Nigdy nie byłem u lekarza i nikt nad moim stanem zdrowia nie rozczulał się. Lusina kielbasa i „perełka” mogły być tylko impulsem wywołującym to, co od dawna w organizmie siedziało.

Była Gienia. Nareszcie wpuścili ją do mnie. Podobno codziennie dobijała się o to. Płacze, rozpacza, powiada, że nie wyobraża sobie życia beze mnie. Rozczuliła mnie, choć z drugiej strony nie zachwyca mnie perspektywa małżeństwa. Mam na to dużo czasu, a jeśli wykituję, to nie mam go wcale.

Tak wiele miałbym do zanotowania dla potomnych, ale skoro mam wkrótce umrzeć – to mam wszystko gdzieś. Mam dopiero 24 lata i zbyt wiele przeżyłem po to, by doczekać wolnej Polski. Okazuje się, że niepotrzebnie. Głupio mi i ciężko. Może to wynik samotności? Nieprzyjemnie jest być samemu w czterech ścianach. Poczytam, prędzej zleci ta reszta czasu, jaka mi jeszcze została.

Lipiec

Jestem w domu. Ileż to czasu upłynęło, kiedy byłem razem z rodzicami i rodzeństwem w pełnym komplecie. Całe wieki. Dobrze tak, po wielu latach, wrócić na tak zwane łono. Wszyscy skaczą koło mnie, martwią się i cieszą na przemian. Martwią, bo jestem chory, cieszą – bo jestem. Ojciec, którego mama ledwie wyciągnęła ze wsi, pokiwał głową wysłuchawszy mojej dramatycznej opowieści o chorobie i powiedział, że lekarze są tylko lekarzami, a ja doczekam prawników. On zaś wyleczy mnie babskimi sposobami. I leczy mnie.

Codziennie rano świeżutkie mleczko od naszych rodzimych, przywiezionych ze wsi, krasul. W ciągu dnia opycham się różnościami z normalnego ludzkiego menu przepłatnymi klejem z siemienia lnu i ... psim sadłem. Podejrzewam, że mój poczyty staruszek stał się hyclem i poluje na psy. Tylko jak on to robi, skoro nigdy jeszcze nie uciął kurze łba, a nad każdym zarżniętym, nie przez niego, wieprzkiem czy cielakiem – płacze. Ja nie palę, o picciu w ojcowskim domu nie ma mowy. Łazę po polach i lasach odzyskanej po wiekach, a tak mi bliskiej i znajomej ziemi. Czuję się dobrze. Mam apetyt i nastrój sprzed